

MŁODA MYŚL

**Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego
„Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach
Nauczycielskich w Białymstoku**

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr.
Cena numeru w miejscu 40 gr., z przesyłką 50 gr.

TREŚĆ NUMERU:

1. Od Redakcji

Dział naukowy

- | | |
|---|----------------------|
| 2. „Zadanie pracy oświatowej w Polsce” | „Trzeci” V m. |
| 3. „Kilka słów o Supraślu” | Janka Łoś IV z. |
| 4. „Obecny stan szkolnictwa powszechnego” (d. c.) | Redaktor V m. |
| 5. „Refleksje o żołnierzu polskim” | St. Pietraszak IV m. |
| 6. „Zawrót głowy” | „Trzeci” V m. |

Dział literacki

- | | |
|----------------------------|---------------------------|
| 7. „Świty” | Izabella Leśna IV z. |
| 8. „Jesień” | Skrzędziejewska III z. |
| 9. „To co przemija” wiersz | Luśka Storczyńska I z. |
| 10. „Królowo nasza” wiersz | „Atom” III z. |
| 11. „Ze wspomnień” | L. Skrzędziejewska III z. |
| 12. „Krajobrazy jesienne” | |

Dział „Nasze życie”

- | | |
|--|--------------------|
| 13. Kilka uwag, nasuwających się po przeczytaniu
artykułu p. t. „Nasze życie” | Janka Łoś IV z. |
| 14. Z kroniki wycieczkowej V z. | V z. |
| 15. Nasza marszruta | L. Dzymulski IV m. |
| 16. Kronika życia szkolnego | |

Dział rozrywkowy

- | | |
|-----------------------------|-------------|
| 17. Satyra prozą | X, IV z. |
| 18. W sprawie „I tak i tak” | Giew. IV z. |
| 19. „Odezwa” (nadesłane) | |
| 20. Odpowiedzi Redakcji. | |

Adres Redakcji i Administracji:

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku, № tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: **W. Konopkówna.**

Redaktor: **E. Sałata.**

Wiceredaktor: **J. Polówna.**

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku

Od Redakcji

Smutne doświadczenie wykazało, że to, co się dzieje w Redakcji naszej gazetki, nie wszystkich interesuje. W przeciwnym bowiem razie „Młoda myśl” nie przeżywałaby „głodowych dni”, które trwały do niedawna i trwają (choć w mniejszym stopniu) nadal.

Ażeby temu zapobiec, chcę niejako dać tym, którzy mniej lub więcej są naszymi sprawami zainteresowani, pewne wiadomości, które może wzbudzą u nich większe przejęcie się sprawą i przyczynią się do wzmożenia „ruchu”.

Otóż na zebraniu Komitetu Redakc. zostały poczynione pewne ulepszenia, które jeżeli nie podźwigną naszej „gazetki” na takie wyżyny, na jakich znajdowała się kilka lat temu, to przynajmniej powinny polepszyć jej przyszłe bytowanie.

Wniesione poprawki polegają na wyraźnem zaznaczeniu poszczególnych działów (które istniały i przedtem ale w teorji), mających ułatwiać piszącym dobór tematów. Działów jest cztery: naukowy, literacki, kronikarski i rozrywkowy. Gdyby ktoś chciał zapoczątkować nowy dział, niech powiadomi o tem Redakcję.

Trzymając się tego planu, mam wrażenie, że łatwiej będzie poruszać sprawy, dotyczące tej czy innej dziedziny, byleby nie zbywało na dobrych chęciach.

Gdyby ktoś chciał mieć bliższe informacje, może zwrócić się do Redakcji, która zawsze w sprawach powyższych chętnie ich udziela.

Wiceredaktor.

DZIAŁ NAUKOWY.

Zadanie pracy oświatowej w POLSCE.

Praca oświatowa winna mieć wyraźnie i jasno postawiony cel. W okresie niewoli cel ten streszczał się w następującem hasle: „Przez oświatę—do wolności”. Dziś wolności naszej nie pozwolimy sobie odebrać, lecz aby na to nie pozwolić, trzeba wychować obywatela zdolnego do życia w państwie i do jego obrony.

Musimy przeto postawić, rozwinąć i w życie wcielić nowe hasło: „Przez oświatę i kulturę obywatela do potęgi państwa”, albo krótko „przez oświatę do potęgi”, a rozwijając ten zew oświatowy, postawić pracy oświatowej następujące zadania: 1) szerzenie wiedzy, 2) kształcenie charakterów i 3) wychowanie zmysłu państwowego.

Jako przyszli nauczyciele mamy szerzyć wiedzę ogólną, specjalną i obywatelską. Wszyscy mają do wiedzy prawo, byle tylko chcieli z niego skorzystać.

Światło wiedzy świeci dziś wszystkim, jak światło słońca; lecz pamiętać należy, że ze światła i ciepła słonecznego korzystają najwięcej ci, którzy rano wstają i lubią pracować. Równość dostępu do wiedzy nie oznacza naładowywania głów równemi porcjami wiadomości, czy równą ilością naukowych formułek, wiedza—to nie stos książek... Szerzenie wiedzy to uszlachetnianie serc i rozjaśnianie umysłów, umiejętne wzbogacanie wiadomości, które można dobrze przyjąć, przyswoić i zużytkować. Wiedza winna uzdalniać do pracy i dawać radość życia.

Mamy kształcić charaktery. Charakterów nam w Polsce potrzeba; trzeba wyplenić wady liczne i zdobyć konieczne zalety. Nie wymieniamy wad, są one zbyt dobrze znane. Wspomnijmy o zaletach, bez których niepodobna żyć zgodnie w gromadzie. Pracować nad charakterami to uszlachetniać serca, budzić poczucie dobra i zła, czyli sumienie, a przede wszystkim wyrabiać dobrą i konsekwentną wolę.

Jakże często zaczynamy coś i nie kończymy...

Bez wyrobienia woli w jednostkach nie posiadziemy woli zbiorowej, niezbędnej w demokratycznym ustroju państwowym. Państwo można wybuchem woli zbiorowej odzyskać,—ale budować, utrzymywać i utrwać byt państwa można tylko konsekwentnym wysiłkiem. Ofiarami drobnymi nieraz. Na to jednak nie trzeba porywów i polotu, nie chwilowego ognia — lecz silnej i dobrej woli.

Charakter uzdalnia do życia w gromadzie. My w gromadzie żyć nie umiemy. Polacy za mało kochają Polaków, chociaż Polskę milują całym sercem. Wystarczy przyrzec się choć tylko naszemu życiu zawodowemu, towarzyskiemu. Zbyt często pobudką działania jest nienawiść... A obcy określają nas, w taki sposób: „Jeden Polak—to genjusz, dwóch Polaków—to kłótnia, a trzech Polaków—to już anarchja”. Smutne to, a jednak w wielu wypadkach prawdziwe.

Powiedziałem na początku, że jednym z celów pracy oświatowej jest wychowanie zmysłu państwowego, czyli zdolności odczuwania zadań i potrzeb państwa. Bardzo to ważna dla przyszłości Polski cnota obywatelska. Zastanówmy się, jest we współczesnem nam społeczeństwie polskiem zmysł państwowy. Cofnijmy się do przeszłości Polski, kiedy ta odpowiedzialność za państwo spoczywała w rękach jednej warstwy narodu. Mieszczaństwo było słabe, lud nie brał udziału w rządzeniu państwem. Szlachta zatem była „narodem politycznym”, a z odpowiedzialnością za całość Rzeczypospolitej dobrze nie było. Mówiło się: „Miłościwy królu, panuj nam—ale nie rządz”, albo „szlachcic na zagrodzie—równy wojewodzie”, a pan na Podolu, króla w Warszawie nie zawsze uznawał.

Skutki tego stanu są dobrze wszystkim znane. Potem przyszła długa niewola. Naród podzielony znalazł się w trzech obcych organizmach państwowych. Wszystko, co szło od państwa, było zwykle narodowi wrogie, a występowanie przeciw państwu i władzom zaborców stało się narodowym obowiązkiem. A więc obchodzenie ustaw i rozporządzeń, uchylanie się od podatków i świadczeń, unikanie służby wojskowej, przekupstwo urzędników i policji—wszystko to, aż do jawnych powstań, wynikało z programu obrony narodowej. A jednak to pozostawiło swój głęboki ślad, jako dziedziczne obciążenia lub przyzwyczajenia.

Jakże częste teraz widzimy stosowanie podobnych, lub

tych samych metod postępowania w stosunku do naszego własnego państwa. Środkiem zapobiegawczym na te przyzwyczajenia będzie wychowanie zmysłu państwowego, na który składają się trzy pierwiastki: zgoda, ofiarność i posłuszeństwo prawu.

Dzięki tym przeszkodom, które wytworzyła nasza przeszłość, zadanie, jakie ma spełnić praca oświatowo-wychowawcza jest ogrom. Należy wpoić w duszę i umysły obywateli jasną świadomość tego, co jest „państwo” i jaki winien być stosunek obywatela państwa.

Polsce potrzeba obywateli rozumnych, uczciwych, pracowitych i ofiarnych, gotowych do oddania mienia i krwi w obronie państwa. Bo Polska ma takie położenie, że utrzymać się będzie mogła tylko wówczas, gdy do obywatela odwołać się będzie mogła w potrzebie, a on ten zew odczuje i zrozumie. Z tego zaś najbardziej powinni zdawać sobie sprawę wychowawcy narodu, nauczycielstwo, a my też jako kandydaci tejże grupy. Więc naprawdę dbajmy o to, gdyż wielkie zadanie leży przed nami.

„Trzeci”.

Kilka słów o Supraślu.

Supraśl! O, ileż to wspomnień miłych, ile chwil spędzonych beztrosko na tle cudnej przyrody przypomina nam to miasto.

Gromadka nas bo, aż 23 spędzałyśmy drugi miesiąc wakacyj w tem cudnem ustroniu dzięki Towarzystwu „Przystań”, interwencji pana dyrektora i staraniem pani profesorki Pacewiczówny.

I teraz często, gdy się zejdziemy razem my Supraślanki, to wspomnienia sypią się bez przerwy.

— „Pamiętasz, Halinko, jak nam kazano w pierwszy dzień siedzieć pod drzewkiem, albo znowu ten pamiętny walczyk pod tytułem—Symfonia?—A ty pamiętasz naszą kąpiel i gimnastykę na brzegu, a tej nocy, kiedy nas „Mania” straszyla, to już chyba nigdy nie zapomnę i t.d.i.t.d.”.

Ale się rozpisalam nie na temat, bo chcę o samym Supraślu kilka słów skreślić.

Supraśl z małej osady zaczął się rozwijać dopiero po drugim rozbiorze Polski, kiedy zaborcy wszechwładnie rządzą naszym krajem. W tym właśnie czasie zjawiał się w nędznej mieścinie niejaki baron Zachert, który dostał Supraśl od Niemców, jak wieść głosi za zdradę. Jak to tam było w rzeczywistości „różni, różnie plotą”, cóż kiedy nikt nie był przy tem.

Baron sam Niemiec, sprowadził kolonistów współrodaków i tę małą osadę zaczęli przebudowywać na miasto.

W miarę rozrastania powstało w niem kilka fabryk, które do dziś istnieją. I tak w bardzo krótkim czasie Supraśl stał się miasteczkiem, liczącem kilka tysięcy ludności. Są jeszcze ludzie starzy, którzy pamiętają, jak chodzili na rydze tam, gdzie dziś ciągnie się bodaj czy nie najdłuższa ulica Nowy świat i kopali glinę, gdzie dziś jest ulica Piłsudskiego.

Teraz Supraśl stoi na drodze rozwoju, kto wie, czy zanim wiek minie, nie będzie wielkiem miastem, bo ma warunki po temu. Dziś już coraz częściej słyszymy o jego położeniu zdrowotnem i w czasie lata wiele osób spędza w nim przyjemnie czas, zachwycając się jego rzeczywiście prześliczną okolicą i położeniem.

Zainteresowały się też Supraślem szersze warstwy społeczeństwa. Zaczęto o nim pisać, zwiedzać i ostatecznie doszło do tego, że zaczęto dzieci z miast większych, a nawet z zagranicy, przysyłać na kolonie wakacyjne. W tym też celu wykończono w tym roku dom wycieczkowo-lotniskowy, zbudowany niedaleko lasu.

Z zabytków, których Supraśl ma mało, najwięcej ma uroku i zaciekawia zwiedzających okryty mgłą legend i podań klasztor, zbudowany prawdopodobnie za czasów Karola Chodkiewicza. Klasztor ten, jak głosi podanie, ma się łączyć lochem podziemnym z pałacem Branickich. Czy to prawda?—niewiadomo, bo nikt tego nie zbadał.

Janka Łoś.

Obecny stan szkolnictwa powszechnego.

(d. c.)

Katastrofę w dziedzinie szkolnictwa przyspiesza fakt stałego po wojnie przyrostu dzieci, tak że w okresie 1929-39 przyrost dzieci wzrośnie o 66,9% ogólnej ilości, a w części wschodniej Polski 91,5%, w tej części, gdzie ilość dzieci, objętych powszechnym nauczaniem, jest najmniejsza.

W tym roku szkolnym 1929/30 objęliśmy nauczaniem powszechnym 86% ogólnej ilości dzieci, pozostawiając 500.000 dzieci poza szkołą.

Stoimy tedy przed pytaniem, czy budując izby szkolne w takim jak dotychczas tempie możemy objąć w latach 1930/31—1939/40 jeszcze 2½ miliona dzieci, skoro w okresie 1921/22 — 1929/30 zdołaliśmy liczbę dzieci w szkołach powszechnych podnieść o 357.000 zaledwie. Doświadczenie dziesięciu ubiegłych lat szkolnictwa daje na to odpowiedź przeczącą. Wobec tego albo musimy znieść powszechność nauczania albo wielce przyspieszyć tempo budowy nowych szkół.

Ponieważ na pierwsze żaden świadomy obywatel polski nawet w myśli zgodzić się nie może, pozostaje drugie.

Same wysiłki Ministerstwa, jak widzieliśmy, są niewystarczające, całe społeczeństwo musi tej akcji przyjść z pomocą.

Pomoc ta może mieć różne formy, nietylko jako poparcie finansowe. Tak na przykład staraniem samorządów ziemskich można poczynić oszczędność przy budowie szkół powszechnych przez obniżenie kosztów materiału i robocizny oraz przez zastosowanie t. zw. szananku t. j. doświadczenia ze strony ludności robocizny niefachowej i środków przewozowych.

Obniżenie kosztów materiału można też osiągnąć przez zorganizowanie odpowiedniej dostawy i zastosowanie tańszych materiałów budowlanych. Ale najpoważniejszym źródłem otrzymania daleko idących oszczędności byłaby umiejętna organizacja budowy, a mianowicie masowość tej akcji, skoncentrowanie jej nie w poszczególnych gminach ale w powiatach.

Pomoc finansowa winna mieć z jednej strony formę doraźnych ofiar, z drugiej formę stałego opodatkowania się ludności.

By tak społeczeństwo współdziałało w akcji budowlanej szkół powszechnych, potrzebne jest uświadomienie w tem jej najszerzych mas, a takie zadanie czeka przedewszystkiem nas—przyszłych nauczycieli.

Redaktor.

„Refleksje o żołnierzu polskim”.

„Zwycięstwo zawsze przypada w udziale tym, którzy na nie zasłużą największym wysiłkiem woli i wiedzy”.

Napoleon.

Piękną chwilę przeżywaliśmy dnia 18 października w dziesiątą rocznicę rozejmu między „Czerwoną” Rosją a Polską.

Czyż nie wspomniały czyn żołnierza polskiego, żołnierza tego, który rzuciwszy ławę szkolną, warsztat pracy, poszedł na pole walki, by zasłaniać pierś „Tej, co nie zginęła”.

Dziś nam się zdaje, że to był straszny sen tylko, którego ślady jeszcze istnieją...

Gdy rzucimy okiem na historję naszego narodu, to dojdziemy do wniosku, że ten sam naród nie zawsze był jednakowo bohaterski.

Czasami owiany patriotyzmem dokonywał wspaniałych czynów, stojąc jak jeden mąż w obronie Ojczyzny. Rzecz dziwna, czasami ten sam naród upadał tak nisko, że nie można czytać historii bez bólu w sercu. Słusznie powiedział Napoleon, że Polacy są dzielnym narodem, trzeba tylko umieć nimi kierować. Być może, że w czasach największego upadku nie mieliśmy genialnych wodzów, którzyby nie zważając na warunki i okoliczności prowadzili nas drogą właściwą.

W roku 1920 miała Polska przewodnika, który pokazał Europie, że duch polski nie zaginął. Żołnierz polski

mimo hasel wywrotowych, jakie bolszewizm rzucał na Zachód, zachował swą godność i zasłużył na miano obrońcy cywilizacji Zachodu. Wszystko, co teraz mamy, zawdzięczamy wytężonej pracy żołnierza polskiego i jego niezłomnemu Wodzowi.

Naprawdę musimy podziwiać heroizm żołnierza polskiego. W tym czasie, kiedy namiętności partyjne górowały ponad wszystkim, żołnierz i Wódz nasz stał przy prawdzie, bo wiedział, że w nim tkwi siła żywotna narodu.

Winniśmy szacunek żołnierzowi polskiemu i jego Wodzowi. Winniśmy mieć szacunek dla tych, którzy polegli w obronie ojczyzny. Cześć ich pamięci!

St. Pietraszak.

„Zawrót głowy”.

O niebezpieczeństwach wycieczek w góry czytujemy często. Latem rzadko dzień jaki minie, żeby gazety nie doniosły o nowem nieszczęściu. Lawiny, zasypy kamienne, mgła, szczeliny lodowcowe, poślizgnięcie się—oto są między innymi niebezpieczeństwa, o których się słyszy. Ale największem niebezpieczeństwem jest i będzie zawrót głowy.

Gdyby wdrapujący się na górę patrzył spokojnie na wysoką ścianę skalną, po której się wznosi, toby może dotarł szczęśliwie na szczyt. Ale ciągnie go coś, by spojrzeć w dół na siedziby ludzkie, by się przekonać, jak wysoko się wzniosł, jak wysoko podniósł się ponad ten świat w dole. Zaledwie się jednak odwróci, jakaś nieprzeparta potęga czarodziejska porywa go w dół, człowiek traci równowagę i w kilka sekund pada w przepaście, nad które wdrapywał się całemi dniami. Malarz niemiecki Schwind przedstawił porywajaco, jak strzelec górski oparty jest o skałę, a postać z licznych, zastaniających przepaście, mgieł złożona, wabiąco obejmuje jego szyję ramieniem, aby ściągnąć go w dół.

Dzieje się to nietylko na wycieczkach w góry. Tak samo też, gdy człowiek uczuwa pragnienie, by się stać czystym i lepszym, by się wznieść ponad mglistą dolinę

poziomych życzeń, het tam—na najwyższe szczyty przewyciężenia samego siebie—i wtedy czyhają na niego największe niebezpieczeństwa.

I wtedy także najgroźniejszym niebezpieczeństwem jest to, że człowiek nie patrzy przed siebie, nie wpatruje się w najwyższy cel swych dążeń, lecz odwraca się za siebie, żeby się napawać dumą, jak daleko prześcignął innych, jak tam w dolinie mrok jeszcze otacza nędzne chaty, gdy jego już opromienia słońce poranne. Kto pragnie stać się lepszym, nie powinien nigdy patrzeć za siebie i przed siebie, by się cieszyć wysokością swoją nad innym. Inaczej bowiem pycha, podobna do zawrotu głowy, porwie go i bez ratunku rzuci w dół, bo cnota z pychą skojarzona stanowi najcięższy upadek, jakiemu człowiek może podlegać. Wtedy wszystko to, w czym się wzniosł, jest stracone, człowiek wpada w dół oziębłości serca, nie dotrze już nigdy do szczytu. Od tego zawrotu człowiek ochronić się może tylko wtedy, jeżeli nigdy nie myśli o tem, co już uczynił i co sobie wywalczył, lecz jedynie o swym celu na wyzynie,—jeżeli oczy ma wlepione tylko w przykład najczystszych i największych ludzi i przepojony jest cały uczuciem, jak nisko jeszcze znajduje się pod nimi i jak daleką ma jeszcze drogę przed sobą. Zabezpieczony jest wtedy od „zawrotu głowy i szczyt może osiągnąć.

„Trzeci”.

DZIAŁ LITERACKI.

Ś w i t y.

Szary świat.

Idzie się ciągle w szarość niezmierzoną, nie czuje się drogi przed sobą, ni stron, ni kierunku. Przed oczyma zasłona gruba, szara, wilgotna—zimna mgła przedświt. Jednak zda się nieprzebitą mgłą czuje się coś żywego, coś co drży na zimnie, a za chwilę rozprostuje swe znieruchomiałe członki, aż krążyć w nich zacznie bujne życie w słonecznym pyłe dnia.

Czuje się wierzbę przydrożną ciekawie i poczwarnie schyloną nad rowem, gdzie krzewy jakieś pogmatwane dziwacznie wyglądają jak splątane w nadmiernym wysiłku zapasów karły.

Czuje się gdzieś drżący pod ciężarem rosy łan zmartwiałego żyta, przycichłego nagle przed wielkim cudem świtu.

Czuje się wonną wyschlą łąkę, kołyszącą się lekko, jakby w zdumieniu wielkiem, tak cicho i spokojnie, jakby w niej nie było życia ni ruchu.

Czuje się sad dostojny, ocieźwały od owoców, dyszący cichą rozkoszą najgłębszego snu.

Czuje się rząd małych, do ziemi przygniecionych wielkimi poszyciami chat, patrzących czarnymi zaspanymi okienkami.

Czuje się jednak, że to wszystko na tym zamglonym ciemnym świecie nie jest martwe, ale tylko śpi czujnie, mając w sobie ten wielki niezbadany skarb życia, który za lada promieniem cieplejszym rozszumi się, rozgada i tworzyć zacznie młode życie.

Już szare mgły powoli zaczęły nabierać kolorów drżących, zamazanych. Coś się tam za niemi śmiało złotymi blaski, coś się tam budziło do życia, do ruchu, rozpędzając je, rozświetlając powoli, aż zrumienione, pośólkle zagnała, rozstępować się zaczęły, usuwać, rozwiewać i ginać.

Wzeszło słońce.

Przycichła rozzłocona ziemia, dech zatrzymała w sobie jakby z radości wielkiej, a potem rozśpiewała się całą gamą subtelnych głosów, muzyką dnia.

Tak w każdej rannej godzinie staje się cud.

Staje się i cud drugi. Olśnione ludzkie serce przestaje bić na chwilę a jednak żyje i czuje, że tę ziemię rodzinną kocha bez granic, że wszystko, co robi, robi dla niej, przez nią i z niej.

Ziemió nasza!

Ty przywiązujesz ludzi do siebie nie tylko urokiem, ale szepczesz im tak dziwne tajemnice ze swej przeszłości, że w uniesieniu wielkiem, radosnem chrzczą Cię świętem mianem Ojczyzny.

Ci wiedzą, że nie jesteś zwyczajną ziemią, jak inne, ale każda Twoja cząsteczka jest zmieszana z pyłem kości naszych pradziadów i zlepiona serdeczną krwią ojców i dlatego to z każdej Twojej cząsteczki wysnuwają się niewidzialne przedziwa powinowactwa i oplatają nam serce, że Twoje się staje na wieki.

Inni ludzie może nie wiedzą o tem, to też chodzą po swej ziemi obojętni, nie wierzący w świętość i dobroć jej, traktujący ją jak coś martwego i nieczulego.

Lecz i tym, gdy znajdują się kiedy o świecie na polskim łanie, gdy sobie przypominają płomienną historję, zabije mocno serce, a usta tulące się do czarnych skib wyszepczą wilgotnej ziemi. Święta Ojczyzno...

Inni znowu jadą szukać szczęścia na obcym świecie i ziemia, która ich wychowała, jest dla nich obcą i daleką. A jednak, gdy czasem doleci ich niewiadomo skąd zapach skoszonych łąk, szum jakby ocieźwałych zbóż, wzrok ich zawsze zimny i obojętny przebłyśnie nagle przypomnieniem szczęśliwym i pomknie szlakiem obłoków do dalekiej ziemi, a przez duszę przeleci niejasna, wyblakła wizja Ojczyzny— jak promienny świt.

W każdej rannej godzinie staje się świtu cud.

Wtedy olśnione ludzkie serce przestaje bić na chwilę a czuje tylko, że tę Ojczyznę świętą kocha bez granic.

Izabella Leśna.

J e s i e ń.

Suche i zwiędłe liście zaścielają drogi... Wiatr chłodny hula i wieje, targa niemiłosiernie konarami drzew. Odziera z nich ostatnie zeschłe liście. Niedługo obedrze całą ich melancholijną krasę, zostawi tylko nagie gałęzie.

Jesień.....

Czuć ją w podmuchu chłodnym, widać w ginącej przyrodzie. Słońce ostatnie swe promienie śle na ziemię, by ją objąć w pożegnalnym uścisku. Stara się przedłużyć swe panowanie, lecz nadaremnie.

Jesień.....

Zmierzch szybko zapada, z dnia na dzień dłuższe wieczory. Nadchodzą długie szare godziny, dla jednych miłe, dla wielu rozpaczne. Bo zwykle wtedy osiada na duszy melancholija, jakiś żal i smutek wciska się mimowoli do serca, jakaś tęsknota za czemś dziwnem i nieokreślonym. Długie, szare, ciche, a tak miłe godziny dumania.

Myśl ludzka biegnie hen daleko, daleko do kresu, gdzie jak dzisiaj w szarym zmierzchu jesiennym zginą jasne blaski, ciche marzenia i to bujne życie. Albo wgląb się cofnie odgrzebać mogiły wspomnień. Wtedy staną przed oczyma mary przeszłości, za jedno pociecha, za drugie smutek, za inne żal wielki.

L. Skrzędziejewska. III ż.

To, co przemija...

To, co przemija—co z życia odchodzi,
Co się rozwiewa lekkim wiatru tchnieniem,
Co precz odpływa w błękitu powodzi—
Kiedyś się do nas powróci—wspomnieniem.

I—chociaż minie, lecz tak jak obłoki,
Co lecąc, w wodzie odbijają twarze,
Na duszę naszą rzuci cień głęboki,
Którego nigdy żadna dłoń nie zmaże.

Luśka Storczyńska I ż.

Królowo nasza!..

Ilekoć boleść sercem owładnie
I cicha skarga popłynie z wnętrza
Złagodź tę boleść w sercu tam na dnie,
O, Przenajświętsza!..

Ilekoć oczy nabiegna łzami
I los nas rzuci gdzieś na bezdroża,—
Śród dróg krzyżowych czuwaj nad nami
Królowo nasza!..

Luśka Storczyńska I ż.

Ze wspomnień.

Ukraina. Maj 1920 roku.

W prześliczny dzień sobotni po południu z siostrą i ojczulkiem dążyłam na nieszpory i majowe nabożeństwo do małego miasteczka Wczorajsze, odległego od naszej wsi o 5 klm.

Przez cudną, topolową aleję, okalającą prześliczny park, wyszliśmy na pola zasiane zbożami.

Na ziemię padał żar promieni słonecznych, powiewał lekki wiaterek, zboża falowały, a gdzieś wysoko, wysoko, drgała cudna piosenka skowroncza, nad kwiatami wśród kłósów unosiły się roje różnobarwnych motyli, brzęczących muszek i komarów. Jak okiem sięgnąć od końca do końca widnokregu pola, zasiane zbożami; tylko na północno-wschodzie widniała siniejąca smuga dębowego lasu, a na zachodzie dalekie miasteczko, do któregośmy zdążali.

Przed miasteczkiem cmentarz... Wśród kwitnących bzów, jaśminów i akacyj krzyże — stróże mogił. A wśród tych stróży jeden... za białym krzewem bzu... Cicho tam, spokojnie... Gdzieś niegdzie słychać szepty modlitw: „Wieczny odpoczynek”... Czasem tylko ptaszek wesoło zacząwierkał, lecz wnet umilkł, jakby się bał zbudzić tych, co tu śpią, zakłócić spokój, tym którzy po trudach życia posnęli...

Przeżycia dawne i obrazy, widziane przed kilkoma laty stanęły mi wyraźnie w pamięci i przesuwają się jak obłoki po zachmurzonym niebie. Jakaś pustka, osamotnienie... jakaś przeogromna tęsknota owinięta swym szarym płaszczem ma duszę dziecięcą i niosła hen, gdzieś daleko, daleko...

Szliśmy dalej. Z za zieleni drzew wyłoniła się kopuła kościoła.

I znów, jak na ekranie, tak w myśli mej, pod powiekami przesuwają się poczęły obrazy, widziane przed kilkoma dniami, a które wywarły na mnie ogromne, niezatarte wrażenie.

Mały, miły i bogaty kościółek. U ołtarza ksiądz, odprawiając mszę św., a kościół pełny ludu i żołnierzy. Co za radość. Tu, na Ukrainie—Polacy. Jeszcze w uszach brzmiały mi, słowa pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła”

i „Boże coś Polskę”. Jeszcze widziałam twarze wzruszone, zalane łzami radości.

Chciało mi się z rodakami śmiać i płakać, aczkolwiek sama nie wiedziałam, dlaczego: nie rozumiałam, a raczej nie wiedziałam, jakie to doniosłe zdarzenia rozgrywały się w tym czasie w Polsce.

Tego dnia właśnie myślałam, że znów ich zobaczę, że znów cieszyć się będę ich widokiem razem z innymi. Jednak tam już nie było. Coś jakby ból targnął mem sercem. Naprawdę starałam się oderwać od przykrych myśli.

Jak zwykle ze drżeniem, ale wtedy ze smutkiem stanęłam u ołtarza z koszyczkiem do sypania kwiatów.

Już procesja wyszła z kościoła. Promień zachodzącego słońca padł na Monstrancję — zalśniła tysiącem gwiazd i iskier. Dymy i woń kadzideł unosiły się w powietrzu: z pieśnią „O Salutaris Hostia”..., łączyły się głosy dzwonów na wieży i dzwonek ministrantów. I płynęła potężna pieśń chwalebna ku Panu, śpiewana przez wierny jego lud, garncący się do wiary i do tego, co polskie.

A mnie się zdawało, że wszystko zasnutę jest mgłą smutku. Wszystko! Nawet słońce. I tylko Monstrancja lśniła cudnie!

Wszystkie twarze zdawały się dziwnie smutne, modlitwy tak żarliwe, tak gorące...

Coraz większy niepokój mię ogarniał. Drżałam. Beładne myśli z błyskawiczną szybkością przebiegały przez mózg. Żadnej z nich pochwycić!

Po nabożeństwie jechaliśmy ze znajomymi do domu.

Nagle zatrzymaliśmy się. Co za orkiestra? Co za ludzie? A, to polskie wojsko! Szare szeregi szły... szły bez końca... uchodziły do Polski... Cicha zaległa ulice miasteczka. Aż nagle z tych ziemistych postaci wytrysnął promień. Z głębi miłujących dusz wyrwała się pieśń i buchnęła w błękitny niebios, zrzadka usianych gwiazdami. Szare szeregi śpiewały: „Póki serce w piersiach bije, Polska nie zginie”!... Polska nie zaginie... Serce skurczyło mi się, a ból przeogromny targnął mą duszą całą.

Wszyscy płakali.

Te słowa pieśni żołnierskiej i łzy bólu, głęboko mi wpadły na dno duszy. A gdy znów jechaliśmy przez te pola, owiane melancholją i smutkiem stepów ukraińskich, gdy już niebo usiane było mirjadami gwiazd, gdy łagodne światło księżyca spłynęło na ziemię, a ciszę pól przerywał tylko turkot wozu i, gdy już żołnierze byli daleko, daleko, jeszcze zdawało mi się, widziałam księdza ze lśniącą Monstrancją, całą procesję, łzy... słyszałam modlitwy i śpiew ludu... A nad to wszystko—szare szeregi i pieśń: „Póki serce w piersiach bije, Polska nie zaginie”!

Atom. III żeński.

Krajobrazy jesienne.

Złota, słoneczna jesień... Taka urocza, powabna, tyle mająca krasy i majestatu w sobie. Taki czar dziwny od niej bije... Zda się niema na świecie istoty, któraby nie ukochała tej cudnej jesieni, nie była wrażliwa na jej krasę. Niestety tyle osób nie potrafi odczuć piękna jesieni.

Prawda, że jesień nie jest tak powabna jak lato i wiosna, nie daje takich rozrywek jak zima, lecz czyż jest pozbawiona uroku? Nieprzeparty czar i urok od niej bije, że trudno mu się oprzeć.

Cała natura chyli się ku spoczynkowi, życie powoli zanika, gdzieś niegdzie żywiej zatętni, lecz zaraz znowu opada, bo to już ostatnie drgnienia. Już ostatnie drgnienia życia przyrody. Wszystko, co żyje chce przed zgonem wystąpić jaknajwspanialej, jaknajokazalej.

Drzewa przybrały szatę uroczystą, mienia się w purpurze, złocie, fioletach. Słonko śle swe ostatnie gorące promienie, by w uścisku pożegnalnym objąć ziemię.

Dziwna cisza i melancholją unosi się w powietrzu. Mimowoli patrzy człowiek na smutnie szeleszczące liście i szepcze: „Jesieni polska, jakaś ty barwna. Jesieni, jakaś ty urocza”...

Cudne, cudne są krajobrazy jesienne. Gdy się spojrzy na aleje, zasypane złotymi liśćmi, na drzewa, ubrane w barwną szatę, mieniające się w słońcu, jakiś żal, jakiś dziwny smutek ogarnia duszę, jakaś tęsknota za czemś pięknym, nieokreślonym porywa i unosi hen w przestworza złotej jesieni. Chce się objąć wszystko w uścisku, utulić tę polską jesień tak biedną, tak przez wszystkich zapomnianą a tak uroczą. Żadna chyba pora roku tak dziwnie nie wpływa na człowieka jak jesień.

Te liście z szelestem spadające, ta dziwna cisza porывa nas ku sobie i unosi.

Czujemy, że to już ostatki barw i słońca, pieścimy wzrok ich widokiem, by na długo wyryć w pamięci.....

Bo wnet za ostrym podmuchem zimy zniknie cała krasa jesienna, opadną złote liście, życie zamilknie, zostanie tylko żal za minionymi dniami, cichy smutek, tęsknota.....

L. Skrzędziejewska. III ż.

DZIAŁ „NASZE ŻYCIE”.

Kilka uwag, nasuwających się po przeczytaniu artykułu p. t. „NASZE ŻYCIE”.

Koleżanki i koledzy. Czy zgadzacie się ze zdaniem autora artykułu „Nasze życie”?

Czyżby naprawdę nasze życie uczniowskie było tak „monotonne i szare, jak lzy bliźniacze, jak krople jesienno-deszczu” i t. d.; i t. d., i takie smutne?

Bo ja się z tem zgodzić nie mogę!

Te dni szybko mknące jeden za drugim — miałyby przejść bez śladu, jak fale i nie pozostawić po sobie wrażeń? Nigdy! Mogę się odwołać tutaj do tych, co już skończyli szkołę i napewno każdy z nich zapytany odpowiedziałby, że najmiłsze, najweselsze i pełne wrażeń dni spędził w szkole.

Sześciogodzinny czas, spędzony w szkole, nie przechodzi znowu tak smutnie i rozpacznie, bo mamy swoje urozmaicenia i „bałagany”. Na lekcjach wprawdzie czasem się nie chce bardzo uważać i zerka się ukradkiem na zegarek, to jednak można wytrzymać. Te zaś nasze tradycyjne „dreszczyki” przed matematyką i fizyką nie są bardzo przyjemne, ale i one urozmaicają naszą sztubacką dolę.

Co do przerw zaś, to już chyba każdy przyzna, że są najweselsze i częściej się spotka wesolą, uśmiechniętą seminarzystkę z „kajzerką” przy twarzy, niż smutną, lub z szyderczym uśmiechem.

A jesień nasza, czyż jest już taka smutna i tylko mająca zwiędłe liście, (które też mają swój kolor). A zresztą i ta smutna jesień wieki trwać nie będzie, przeminie i jak zawsze nadejdzie wiosna, ta czarodziejka, odnawiająca przyrodę i odświeżająca nasze umysły.

Janka Ł.

Z kroniki wycieczkowej V z.

Jeszcze internistki nie zdążyły przetrzeć oczu i porządkować papilotów, gdy na parterze w pełnym rynsztunku, z niepomiarnie wypchanymi plecakami poczęły się schodzić eksternistki. W końcu wszystkie są gotowe. Lecz tak wyruszyć bez żadnej hecy, to niegodne IV-go żeńskiego.

O godz. 7-ej, gdy do odjazdu pociągu pozostała zaledwie godzina, a wóz z plecakami wyruszał już na stację; Fela wszczyna alarm: „Jedziemy przez granicę Gdańska, a żadna z nas nie wzięła legitymacji. Przecież to pewne, jak dwa a dwa... pięć, że nas gdańszczenie nie puszcza, a co gorsze mogą przymknąć. Co począć?

Jedne potraciły głowy i załamują ręce w rozpacz, inne z rezygnacją poddają się woli nieba, pocieszając się, że „fortuna kołem się toczy”, więc nim dojedziemy do Gdańska, obróci się pomyślnie i uśmiechnie się do nas. Zaradniejsze biegną do internatu i obrabowują pozostałe dziewczynki z wszelkiego rodzaju dokumentów, od dowodów osobistych do kartek wizytowych, jako że w drodze wszystko się może przydać.

Znalazłyśmy się wreszcie na stacji we własnym, z trudem wyproszonym wagonie, świeżo wymalowanym, wylakierowanym, zostawiającym na ubraniu jaskrawe ślady. Okna czyste, nigdzie pyłku. Komfort nielada! Tylko aura — rozpaczliwa! Zapach farby olejnej i lakieru spirytusowego, unoszący się w powietrzu, nastroja do choroby morskiej.

Ale oto nowy kłopot! Za parę minut pociąg rusza, a tu — Telimena gdzieś wsiąkła. Co będzie jak zostanie w Białymstoku, a plecak pojedzie nad morze? Wtem na peronie robi się ruch, zadrżała ziemia w posadach i nim się kto zdołał obejrzeć, do wagonu wpadła, jak bomba Telimena. Witana radośnymi okrzykami koleżanek, nie może jednak słowa przemówić bo „z wielkiej alteracji dostała serca palpitacji”.

Pociąg rusza. Jeszcze kilka słów pożegnania i podziękowania p. Majewskiej i p. Dyrektorowi i stacja niknie z oczu.

Próbujemy coś śpiewać, ale stukot pociągu zagłusza śpiew, tylko czyjś silny głos wydiera się z pośród ogólne-

go gwaru i na nutę minorowo-kalwaryjską zawodzi „Raz-łukę”.

O godz. 1-ej jesteśmy w Warszawie. Zostawiamy wagon pod opieką Feli i wyruszamy na zwiedzanie miasta.

Zamek, nazewnątrz odrapany i zawalony gruzem, ma wygląd nieco odstrasający, ale wewnątrz, prawie na ukończeniu, prezentuje się godnie. Niestety, tylko kilka sal, niekniętych przez Moskali, zachowało dawną świetność. W większości sal tandeta obić ścian i mebli kłóci się ze wspaniałością posadzek. Co gorsza, niesumienny architekt nie zwrócił uwagi na zatynkowane w niektórych salach freski i zdobył się jedynie na lichy złożony ornament. Roboty nad odświeżeniem fresków rozpoczęte będą na nowo.

Białe „gabinet śmierci” z pamiętnym biurkiem, na którym w czasach niewoli podpisywano wyroki śmierci na Polaków, przejął nas grozą.

Wspomnienie niepowetowanych, niezapomnianych krzywd powiało ku nam z każdego kąta strasznej sali.

Lecz oto przechodzimy do sali balowej. Żywe opowiadanie przewodnika pozwala na chwilę naszej wyobraźni cofnąć się 160 lat wstecz.

W rześcistej oświetlonej sali wśród strojnych tancerzy w upudrowanych koafiurach przesuwa się postacie króla Stasia i pani Grabowskiej, schylających się we wdzięcznym menuecie.

Złudzenie rozwiewa się szybko, bo wychodzimy na podwórze, gdzie mamy zaszczyt spotkać auto pana Prezydenta, ale tylko auto, bo p. Prezydent przyjechać ma dopiero wieczorem.

Kilka dziewczynek zwalnia się do miasta, reszta wędruje do Belwederu. Tam jednak spotyka nas brama zamknięta, więc musimy zadowolić się zerknięciem przez kratę. Odpoczęliśmy trochę w Łazienkach niezapuszczając się w głąb parku i na tem skończyło się zwiedzanie Warszawy. Tramwajem dojeżdżamy do dworca Gdańskiego, gdzie już przywieziono nasz wagon. Po kolacji układamy się do snu, gdzie która może. Co cieńsze pakuja się na półki, mniej cienkie (bo żadna z nas nie jest gruba), mieszczą się na ławkach i podłodze. Zenia wiesza swój hamak i zawisa u sufitu jak nietoperz.

O 8-ej wiecz. pociąg rusza. Miarowy ruch pociągu szybko ukołysał nas do snu. Nagle około północy drzwi się otwierają i wchodzi nowy, wąsaty konduktor. Nie byliśmy przygotowani na tak nagłą wizytę przedstawiciela płci pięknej, więc popłoch powstaje okropny. Zerwane ze snu, napół przytomne, wydieramy sobie prześcieradła i koce. Silniejsze zwyciężają, sąsiadki zaś ich, pozbawione zasłony, na podobieństwo strusi kryją głowy w poduszki w nadziei, że może w ogólnem zamieszaniu konduktor nóg nie dojrzy.

A biedny konduktor, ogłuszony nieludzkim wrzaskiem, przesuwa się pomiędzy leżącymi na podłodze dziewczynkami, nie mając gdzie oczu wsadzić, trąca nogą pogrążoną dotychczas w głębokim śnie Oleńkę. Ta zrywa się i woła z płaczem: „Jak pan może tak komuś na głowę włożyć z nogami? To jest naprawdę oburzające!” Nieszczęsny wpada wreszcie do nieco wolniejszego przedziału pań. Tam znowu przemawia do niego p. Julja tonem, który mógłby kamienie wzruszyć: „Panie konduktorze, czyż można nam tak życie zatruwać?” Ale serce konduktorskie twardsze jest od głazu, więc w rezultacie musiałyśmy się pogodzić z przykrością widzenia konduktora co 10 minut.

W czasie tej awantury jedna tylko Ania nie denerwowała się „ani, ani”. W koronie sterczących papilotów, w białym burnusie z prześcieradła, siedziała na ławce i ze spokojem zjadała kielbasę z chlebem.

V ż.

Nasza marszruta.

Nie wiem, czy znajdzie się ktoś, komu wycieczka, zwłaszcza odbywająca się na łonie przyrody, nie sprawiłaby przyjemności. Pomijając wpływ zdrowotny wycieczki, pomijając nawet jej znaczenie naukowe i kulturalne, pozostaje nam jeszcze wpływ na usposobienie wewnętrzne. Pogoda ducha, wesołość panuje zwykle na wycieczce nawet u tych osób, które w życiu codziennym są przygnębione duchowo. Komu zaś, jak nie nam, młodzieży, najwięcej

tej pogody ducha i radości potrzeba. Urządzajmy więc wycieczki.

Wycieczka, którą mam zamiar opisać, objęła południowo-zachodnią Polskę. Była to wycieczka piesza.

Zdecydowana na wszystko czwórka, zaopatrzona w wyładowane plecaki, no i w skromną gotówkę, wyruszyła drugiego lipca 1930 r. w stronę Warszawy.

Upał, jaki w tym czasie panował, utrudniał marsz, lecz mimo to posuwaliśmy się z szybkością około 37 klm. dziennie.

Po pięciu dniach zdobyliśmy pierwszy punkt wytyczny—Warszawę, gdzie zatrzymaliśmy się przez kilka dni w celu zwiedzenia jej. Nie będę opisywał wrażeń ze stolicy, gdyż wiele osób zna ją, a jeśli nie, to z pewnością wcześniej czy później pozna.

W dalszej drodze minęliśmy stary trybunalski Piotrków (mający kilka starych zabytków, w postaci kościołów, zamku królewskiego i innych zabudowań) i szliśmy prosto na Częstochowę. Początkowo równa płaszczyna coraz bardziej zaczęła się falować, a gdzie nigdzie sterczały skały wapienne, urozmaicając krajobraz i tak już piękny. Żółte żdźbła zbóż zwieszały kłosy i czekały na przyjsście żniwiarzy. Miejscami grupy wieśniaków przystąpiły już do dzieła, tam też słychać było brzęk kos, lub wesołe nawoływania.

Wreszcie wchodzimy do Częstochowy, słynnej z cudownego obrazu N. M. P. i z klasztoru jasnogórskiego.

Klasztor, opasany wysokim murem, jeszcze i w dobie obecnej mógłby stawić czoło nieprzyjacielowi, a niegdyś potrafił wytrzymać natarcie całej masy Szwedów.

Ogromne wrażenie robi także obraz cudowny. Mnóstwo ludzi modli się z zapalem. Spiew tłumu, pełen wiary i czci dla miejsca świętego, rozlega się nieustannie. Pielgrzymki przy dźwiękach orkiestry wchodzi do klasztoru, by także należą część złożyć.

Ruszamy dalej przez Olkusz do Krakowa. Droga Olkusz—Kraków należy chyba do najpiękniejszych dróg w Polsce.

Z obu stron krętej szosy wznoszą się strome zbocza głazów wapiennych, popękane i malownicze.

Na jednym z takich wzniesień znajduje się zamek „Pieskowa Skała” jeszcze dość w dobrym stanie, zbudowany przez rodzinę Piesków. Posiada liczne lochy, które służyły za schroniska powstańcom z powstania styczniowego. Ci zdradzeni jednak zostali wymordowani przez Moskali.

Pozostawiwszy „Pieskową Skałę”, drogą jeszcze bardziej malowniczą wchodzimy do Ojcowa, znanego w całej Polsce ze swych grot i prześlicznego położenia.

Idziemy dalej, droga już więcej równa prowadzi nas do stołeczno - królewskiego miasta Krakowa. Stare to miasto tyle ma cennych pamiątek, że niesposób ich nawet w przeciągu tygodnia poznać.

Oto w podziemiach Katedry na Wawelu stoją poważne i tajemnicze grobowce królewskie, przypominające nam dawną Polskę i jej przeżycia. Skarbiec katedralny imponuje nam swym bogactwem. (Ogólna wartość skarbcza wynosi około dwu milionów złotych).

W mieście Krakowie oprócz Wawelu godnem zwiedzenia jest: Muzeum Narodowe, Dom Matejki, Wieża Mariacka i wiele innych rzeczy.

Z Krakowa wyruszyliśmy do Wieliczki. I tu zadziwiają nas wspaniałe rzeźby z soli, jarzące się światłem.

Idąc dalej Beskidem Zachodnim, coraz bardziej zbliżamy się do Tatr. Już w znacznej odległości zarysowują się ich kształty.

Po drodze spotykamy górali, przybranych w swe stroje, którzy ciągle pytają nas o coś. Zaproszeni wkońcu idziemy na „festyn” (coś w rodzaju zabawy), gdzie przyglądamy się ich słynnym tańcom, a także i bójce, o którą tu bardzo łatwo. Wesołe i pełne niebezpieczeństw otoczenie tworzy z nich ludzi odważnych i gibkich.

No i nareszcie upragnione Tatry, główny cel naszej wycieczki. Nie będę tu opisywał wszelkich przyjemności, jakich tam doznaliśmy, gdyż odczuć to możemy tylko przeżywając; wspinając się po stromych zboczach zaopatrzonych miejscami w kłamry i łańcuchy, lub też patrząc z wysokiego szczytu na cały las, niżej położonych wierzchołków, między którymi ugrzęzły kłębiaste chmury.

Z Tatr znowu bardzo malowniczą drogą przez Pieniny, zaczęliśmy drogę powrotną.

Nie chcę dłużej męczyć czytelników (którzy dotąd doczytali), nie będę więc opisywał drogi powrotnej, gdyż nie była już tak ciekawa, zato podam niektóre dane co do samego marszu.

Szliśmy przeciętnie z szybkością 37 klm. dziennie. Długość całej drogi wyniosła około 1500 klm., z czego pieszo przeszliśmy około 1300 klm. Nocowaliśmy przeważnie we wsi na sianie, a w mieście w schroniskach szkolnych. Na życie wydawaliśmy przeciętnie 1 zł. na osobę dziennie.

Leopold Drzymulski, kurs IV.

Kronika życia szkolnego.

Wrzesień.

Dnia 2-go udaliśmy się do kościoła na rozpoczęcie roku szkolnego nabożeństwem 3-go rozpoczęły się lekcje. Szkoła po dwumiesięcznej przerwie znów zawrzała życiem. 7-go ukazał się długo oczekiwany przez wszystkich numer „Młodej myśli”. 8-go odbyło się pierwsze w nowym roku szkolnym zebranie Zarządu Głównego.

Niemal cała szkoła była na pierwszym przedstawieniu, odegranem przez Teatr Objazdowy samorządu wojew. białostockiego „Lilli Wenedzie”.

Październik.

Obchodziliśmy w tym miesiącu rocznicę 10-lecia zawarcia pokoju z bolszewikami. Dla kursów IV-tych i V-tych miał przemówienie p. prof. Małek, dla kursów młodszych p. prof. Pacewiczówna.

Byliśmy na sztuce Hertza „Młody las”, odegranej przez Teatr Objazdowy.

Obchodziliśmy rocznicę 25-lecia niepodległości szkoły polskiej. Na uroczystość złożyły się: referat p. prof. Małka, deklamacje, występ skrzypcowy i chór.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

Satyra prozą.

Kto siedzi na ostatniej ławce, ten na lekcji:

Siedzi jak na tureckim kazaniu,
Marzy o niebieskich migdałach,
Przegląda się w lusterku,
Wybiega myślą, tam gdzie kończy się jego nos...
Czyta powieści na indeksie,
Odrabia lekcje następne,
Pisze listy,
Załatwia interesy osobiste, harcerskie, Br. Pom. i t. p.,
Układa łamigłówki i rebusy,
Pisze artykuły do „Młodej myśli”,
Ściąga na klasówkach,
Ulega często złudzeniom słuchowym,
Myśli o obiedzie,
Patrzy na wszystko jak..... na malowane wrota,
Bezkarnie podpowiada,
I bezkarnie gada.
Kto nie widział takich rzeczy, niech zaprzeczy.

X.

W sprawie „I tak, i tak”.

....„Czy strzelec obszedł wiewiórkę, czy nie”.

Chodzi oto, jak rozumie słowo—obszedł. Jeśli przez „obejść” rozumiemy zakreślić naokoło pewnego przedmiotu okrąg koła, to strzelec obszedł wiewiórkę, jeśli zaś obejść znaczy obejrzeć daną rzecz ze wszystkich stron, to ów strzelec nie obszedł wiewiórki gdyż widział ją zawsze tylko z przodu. Według mnie nie obszedł jej, twierdzić stanowczo jednak, że nie obszedł, nie chcę, gdyż może kolega Fed udowodni, że tak.

Giew. k. IV ż.

Niżej są wymienione organizacje w liczbie 79.

Redakcja przychylając się do tak wzniosłej akcji zwraca się do wszystkich Kolegów i Koleżanek z apelem o gorące jej poparcie i otwiera na łamach pisemka listę ofiar na powyższy cel czynionych. Pieniądze zebrane w dostatecznej ilości będą bezpośrednio przesłane, czekiem Komitetowi.

Odpowiedź Redakcji.

„Bez tytułu”.— Artykuł posiada wiele usterek stylistycznych, ponadto utrzymany w tonie złośliwej satyry może być niebezpieczny. Z tych względów nie drukujemy.

„Uwagi nad psychologią tłumu”.— Temat bardzo interesujący, ale opracowanie pod każdym względem niedostateczne. Nie drukujemy.

„Alegorje w Farysie”.— Artykuł dziś już nieaktualny bo w Farysie niema podstawy dopatrywania się alegoryj.

„Dolo ty moja”—wiersz. Nie może być drukowany z powodu wad w rytmice.

„Dęby” Sonety.— Musimy niestety odmówić wydrukowanie utworów Szan. autora z powodu wad rytmicznych wierszy.

ODBITO
W
POLSKICH ZAKŁADACH
GRAFICZNYCH
„DZIENNIK BIAŁOSTOCKI”
LEGJONOWA 1
W
BIAŁYMSTOKU.